

CESARE BORGIA
– **HANNIBAL LECTER**
EPOKI RENESANSU



**PIĘKNE
OSZUSTWO**

MICHAEL ENNIS

THRILLER HISTORYCZNY

I

Najmilszy, kochany Giovanni!

Mieszkaliśmy w dwóch pokojach na Zatybrzu. Ta dzielnica Rzymu leży za Tybrem naprzeciwko starego Kapitolu, na tym samym brzegu rzeki, co Watykan i zamek Sant'Angelo. Skupione wokół kościoła Santa Maria Zatybrze było jakby osobnym miasteczkiem, labiryntem winiarni, gospód, garbarni, kadzi farbiarskich i walących się domów, które wiekowe były już chyba za czasów Tytusa Flawiusza, kiedy triumfalnie wjechał do Rzymu po podboju Judei. Wielu mieszkających tu Żydów uważało się za potomków sprowadzonych przez niego jeńców. Ale nasi sąsiedzi pochodzili ze wszystkich stron: z Sewilli, Korsyki, Burgundii, Lombardii, a nawet z Arabii. W tym miasteczku każdy był inny, więc nikt się nie wyróżniał.

Nasze pokoje mieściły się na parterze starożytnego domu z cegły w wąskim, błotnistym zaułku, po którego obu stronach tłoczyły się sklepiki i kamieniczki, ich balkony i galerieyki zwieszały się tak blisko siebie, że zawsze, nawet w południe, mieliśmy wrażenie, że wychodzimy z domu nocą. Książki i starożytne kamee trzymałam w ukryciu, nie

obnosząc się z niczym, co mogłoby skusić złodzieja lub zdradzić, kim niegdyś byłam. Ale raz do roku bieliliśmy ściany i zawsze zamiataliśmy posadzkę, a ty nigdy nie spałeś na sienniku, lecz zawsze na materacu z porządnej bawełny. Nie było też dnia, byśmy nie mieli kwiatów czy świeżej zieleniny na naszym małym stole ani by brakowało nam boczku do fasoli.

Wieczorami, nim zasnąłeś, a ja wyszłam z domu, czytywałam ci Petrarke albo opowiadałam historie. Tak było również naszej ostatniej wspólnej nocy – 19 listopada Anno Domini 1502. Pokazałam ci medalion z brązu z wybitym portretem Nerona Klaudiusza Cezara i snułam o nim opowieści, które przeczytałam u Tacyta, kiedy sama byłam ledwie panienką. Słyszając o jego zbrodniach, spojrzałeś na *signora* Nerona bardzo surowym wzrokiem i pogroziłeś palcem jego wygrawerowanemu obliczu, mówiąc:

– Nawet cesarzowi nie wolno mieć wszy...

– Cesarzowi nie wolno mieć wszy? – spytałam, na co zmarszczyłeś brwi niczym niemiecki bankier, rzekłam więc:
– Myślę, że chcesz powiedzieć: wszystkiego.

– Si, mama, wszystkiego. Nawet cesarzowi nie wolno mieć wszystkiego, co mu się tylko zamarzy. – Twój słodki głos świerszcza był tak poważny. – Dlatego ukarzymy *signora* Nerona. Nie będzie deseru! Jego migdał w cukrze dostanie Hermes.

Pamiętasz Ermesa, mój na wieki umiłowany? To był nasz kochany teneryfczyk, który uwielbiał cię równie mocno, jak ty jego. Kiedy go wołałeś, kręcił wełnistym zadkiem i lizał cię różowym języczkiem po rączce.

Camilla siedziała z nami na łóżku i naszywała łąty na spódnicę. Była moją najmilszą przyjaciółką i najbardziej

oddaną służącą. Zabierała cię na plac przed Santa Maria każdego dnia, kiedy ja nie mogłam wyjść z domu, i spała przy tobie każdej nocy, kiedy pod osłoną ciemności mogłam zająć się swymi interesami. *Zia* Camilla nie była twoją prawdziwą ciotką, lecz była mi siostrą we wszystkim prócz krwi, i ufałam, że jeśli pewnego dnia nie wrócę do domu, pod jej opieką będziesz bezpieczny i wyrośniesz na mężczyznę. Wiotka jak brzoza i wyższa ode mnie, nasza kochana Camilla miała bladą, poważną twarz o ciemnych oczach i ustach, które nadawały jej wygląd ślicznej zjawy, choć mocna była niczym turecki zapaśnik. Urodziła się w Neapolu i z natury miała włosy tak kruczoczarne, jak moje są dziś od farby.

Tę maleńką izdebkę na Zatybrzu potrafiłabym opisać w najdrobniejszych szczegółach, mój najukochańszy i najdroższy synu, nigdy jednak nie zdołam opisać miłości, jaka cię tam otaczała. A niczego teraz nie obawiam się bardziej, jak tego, że rozdzieli nas ocean czasu, którego żadne słowa nie pokonają.

Być może zapamiętasz o mnie tylko to, że nigdy po ciebie nie wróciłam.



Nad głośną winiarnią po sąsiedzku mieszkał stary Żyd imieniem Obadiah. Ten święty człowiek, czubkiem głowy ledwo sięgający dziurki od klucza, uwielbiał rozprawiać o dziełach Józefa Flawiusza i często załatwiał mi kupno starożytności od znajomych handlarzy i *cavatori* – kopaczy. Kiedy więc usłyszałam łomotanie do naszych wiekowych dębowych drzwi, nie byłam wcale zaskoczona, widząc go na progu, choć zdziwił mnie nieco jego pośpiech. Twarz

Obadiaha zawsze wyglądała jak wspaniały rysunek na starym pergaminie ze zmarszczkami starannie wykaligrafowanymi sepiowym tuszem. Gdy jednak zobaczyłam, jak patrzy gdzieś obok naszych drzwi, ów pożółkły pergamin spłowieł w jednej chwili.

Trzech mężczyzn wparowało do naszego domu, zanim biedny Obadiah zdążył osunąć się i upaść na ziemię. Napastnicy zadbali o to, byśmy widzieli ich szable i sztylety. Ty jednak nie przestraszyłeś się, tak samo Hermes, który ruszył na nich jeszcze przed tobą, ujadając jak wrzeszcząca kobieta, póki człowiek z szablą nie pacnął go klingą i nasz kochany piesek poleciał na ścianę niczym kłębek wełny. W okamgnieniu rzuciłeś się na nogi tego człowieka, a on natychmiast uderzył cię w buzię i wycełował ostrze klingi w twój brzusek. Napastnicy nie odezwali się wcześniej ni słowem, lecz teraz ów człowiek, który widział tylko na jedno oko – drugie przypominało ścięte jajko – powiedział z szorstkim neapolitańskim akcentem:

– Zarżniemy chłopaka jak prosię po świętym Marcinie.

Chciałam odrzec: Nie sądzę, by człowiek, który was nastął, pozwolił wam zabić swego wnuka. Ale jeśli nastął ich twój dziadek, to postąpił bardzo sprytnie, ponieważ nie różnili się zbyt od pospolitych złodziei, i nie mogłam mieć pewności, że nimi nie są. Musiałam więc powiedzieć:

– Pokażę wam, gdzie są moje rzeczy.

Drugi mężczyzna zaszedł mnie od tyłu i wepchnął mi do ust drewniany knebel. Cud, że nie wybił mi zębów. Tak ciasno zawiązał rzemień z tyłu głowy, że węzeł wbijał mi się w czaszkę jak czubek noża. Drewno wchłonęło całą wilgoć z języka, a ja mogłam jedynie patrzeć, jak trzeci mężczyzna knebluje Camillę. Nigdy nie zapomnę wyrazu

jej oczu tuż przed tym, nim pchnął ją na materac.

Jednooki ruszył z tobą do drzwi, przyciskając cię mocno do piersi, a ty wierzyłeś nogami i wymachiwałeś rękami, dopóki nie zagroził:

– Chcesz, żebym zabił twoją mamę?

Choć nie miałeś nawet pięciu lat, byłeś na tyle mądry, że natychmiast przestałeś protestować. Zdążyłeś już wtedy zobaczyć ciało poczciwego Obadiaha leżące na progu w koszuli nasiąkłej krwią tak czerwoną jak kapelusz kardynała. Zginął, próbując nas ostrzec.

Co do mnie zaś, skoczyłam do drzwi, zdecydowana zginąć raczej w pogoni za tobą, niżli podzielić los naszej kochanej Camilli. Nie zostałam cofnięta siłą do izby. Drugi mężczyzna najpierw chwycił mnie za włosy, po czym powlókł przy tobie i swym współniku, kłując nożem w żebra za każdym moim szarpnięciem. Na sąsiednim balkonie w górze rozgdakało się stado kur, kiedy pod nimi przechodziliśmy.



Dotarcie do rezydencji twojego dziadka nie zajęło nam dużo czasu, mimo że obeszlśmy ją od tyłu. Kiedy zdążaliśmy przez labirynty ogrodowych żywopłotów, bazylika i pałac wznosiły się nad nami niby góry, w tuzinach okien mrugały lampy. W kilka chwil znaleźliśmy się w środku tego wielkiego gmachu, w przelocie migwały mi połączane meble i nowe freski, a jaskrawe wzory wiszących na ścianach tapiserii i orientalnych kobierców spadały na mnie jak konfetti w karnawale. Całe wnętrze przesiąknięte było zapachem przyjemności: tłących się kadzielnic, świeżej wody pomarańczowej i różanej, pieczonego mięsiwa, piżma,

woskowych świec i rozlanego wina.

W połowie drogi dwaj inni mężczyźni, zakapturzeni niczym mnisi, wzięli cię z rąk jednookiego porywacza. Nie mogłam powiedzieć ci niczego na pożegnanie, zdołałam wydobyć z siebie jedynie straszne, zduszone dźwięki, którymi się niemal zadławiłam. Pomyślałam, że Bóg miłosierny zabierze mnie do siebie, skracając moje męki. Ale ze wszystkich domów na tym grzesznym świecie nasz niepokalany Pan najmniej jest obecny w tym domu, w którym ty i ja staliśmy się właśnie jeńcami.

Światło w otwartych drzwiach rozbłysło niby fajerwerki. Wybuch śmiechu zaatakował mnie równie bezlitośnie, jak zabójcy Cezara, gdy wchodził do senatu. Zostałam wepchnięta do dużej *sala reale* przemienionej w większej części w las mosiężnych stojaków na lampy. Ujrzałam scenę, jaka nawet naszemu Dantemu nie przyszłaby do głowy: dwa tuziny kobiet czołgało się na czworakach niczym świnię ryjące w poszukiwaniu żółędzi, kołysząc obnażonymi piersiami i podrygując nagimi białymi tyłkami, niektóre przykucnęły, usiłując podnieść nagrody – jadalne kasztany – rozsypane na tureckich dywanach. Zgodnie z zasadami nie wolno im było używać rąk ni ust – ani nawet palców u nóg.

Mistrzem tej osobliwej ceremonii był twój dziadek Rodrigo Borgia, choć reszta chrześcijańskiego świata nazywa go *il papa*: papież Aleksander VI. Jego Świątobliwość siedział na drewnianym podwyższeniu za stołem przykrytym złotogłowiec, na którym ustawiono kolekcję złotych i srebrnych solniczek – miniaturowych bogów i bogiń. Posrebrzane cukrowe figurki jeleni, delfinów, jednoroźców i lwów pełzały wokół małych bóstw niczym ładunek

wysypany z jakiejś cukierniczej arki.

Kiedy wleczono mnie w kierunku pana domu, mężczyźni siedzący za stołem gapili się na mnie oczami czerwonymi od dymu. Na żadnym nie ostał się kubrak – rozdzielani byli do koszul i pończoch lub galotów, świeciły się im łysiny i tonsury. Biała jedwabna koszula twego dziadka była tak mokra, że zmieniła się w mleczną błonę oblepiającą jego wielką klatkę piersiową i obwisłe starcze piersi. Czaszka lśniła mu niczym mosiężna misa, której brzeg opasywał pierścień szpakowatych kasztanowych włosów opadających mu na uszy. Nie widziałam go od pięciu lat, ale ten czas zdawał się jedynie złudzeniem.

Usadowiony wygodnie na ogromnym połączanym krześle, obrzucił mnie badawczym spojrzeniem: jego źrenice były czarne i puste jak otwory wywiercone w marmurowym popiersiu. Przechylił nieco głowę, wskazując swym wspaniałym orlim nosem drogę do wyjścia.



Nie trzeba było mnie daleko prowadzić, zaledwie dwa zakręty. Gdy weszliśmy do apartamentów twego dziadka, od razu wiedziałam, która z tych ozdobionych okazałymi freskami komnat będzie świadkiem mych katuszy. Sala Świątych była pusta, nie licząc kilku krzeseł i kredensów. Na środku została fajerka, mały intarsjowany stolik oraz jeden fotel obity szkarłatnym aksamitem z wyhaftowanymi małymi złotymi bykami – symbolem twojej rodziny.

Gdy tylko przywiązano mnie do tego tronu, zjawił się z wizytą pierwszy gość, mistrz artylerii twego dziadka, Lorenzo Beheim – ten od traktatów o czarnej magii i sposobach

przywoływania Szatana. Beheim przyniósł drewnianą skrzynkę podobną do tych noszonych przez medyków. Umieścił ją na stoliku obok mnie i otworzył, mogłam więc podziwiać instrumenty, które wyglądały tak, jakby używano ich do badania macicy i wyciągania opornego dziecka – szczypcy, haki, młotki i cęgi. Kiedy przysunął bliżej fajerkę, zapewne po to, by ułatwić sobie rozgrzewanie tych przyrządów, poczułam w nozdrzach ostry smród rozżarzonych węgla drzewnych.

Ukończywszy te przygotowania, wyszedł.

Nie zostałam jednak zupełnie sama. Wszystkie ściany dokoła mnie były obramowane u góry masywnymi, połączanymi łukami, a w półkolistych lunetach pod nimi malarz Pinturicchio odtworzył historie świętych, przedstawiając ich legendy jako pełne przepychu ceremonie z udziałem widzów. Z mojego krzesła mogłam przyjrzeć się lunecie naprzeciwko okna, na której pyszniła się pawimi barwami ogromna *Dysputa świętej Katarzyny Aleksandryjskiej*.

Widok ów pozwolił mi odświeżyć znajomość z niektórymi bękartami twego dziadka. Musisz wiedzieć, że za modele postaci do tego fresku posłużyły Pinturicchiowi najróżniejsze osoby z dworu papieskiego, choć przez tych kilka lat, które upłynęły od ukończeniu dzieła, czas i Fortuna zdążyły wiele u nich zmienić. W centrum tego wspaniałego widowiska znajdowała się święta Katarzyna wygłaszająca obronę wiary chrześcijańskiej przed cesarzem Maksencjuszem i gronem jego uczonych. Święta Katarzyna była wierną podobizną twej ciotki Lukrecji, obecnej księżnej Ferrary, miała opadające falami lniane włosy, stulone usta czerwone jak wiśnie, błękitne spojrzenie skupione na marzeniu. Portret ten był

prawdziwszy niż samo życie, za czasów bowiem, kiedy znałam Lukrecję, przyłapaną na chwilowym zamyśleniu, natychmiast ukazywała idealne zęby w uśmiechu, który miał odwrócić uwagę od rozpaczliwej nadziei w jej oczach.

Bardzo się bałam, mój kochany, że kiedyś przyjdzie ci poznać wyraz twarzy Lukrecji, lecz jeśli tak się stało, to przynajmniej masz odbity w niedoskonałym zwierciadle obraz swojej mamy. Często się bowiem mówiło w owych latach, gdym była blisko twojej rodziny, że przypominam *donnę* Lukrecję niczym jej starsza siostra. Sama nigdy tak nie uważałam. Twoja ciocia miała mniejszy nos, nie tak szerokie czoło, jaśniejszy kolor oczu. Lecz teraz być może upodabnia mnie do twojej cici Lukrecji ta sama smutna nadzieja.

Nie mniej realistyczne niż portret Lukrecji były dwie postacie po przeciwnych krańcach sceny. Twój dziadek chciał, by modelem dla cesarza Maksencjusza był jego najukochańszy syn, Juan Borgia, książę Gandii. Lecz Pinturicchio, któremu sentyment nie zaciemniał tak osądu, dał temu wszechpotężnemu władcy twarz Cesare Borgii, drugiego nieślubnego syna. W chwili ukończenia malowidła dwudziestoletni Cesare nadal był kardynałem świętego Kościoła rzymskiego i ciągle miał delikatną urodę swej siostry Lukrecji. Pinturicchio nadał mu jednak osobliwe spojrzenie – jego ciemnozielone oczy wpatrywały się ukośnie w dół, utkwione w czymś, czego nie dało się uchwycić na obrazie, jakby Cesare spoglądał w sferę, której nawet malarz nie potrafił sobie wyobrazić.

Naprzeciwno Cesare, po drugiej stronie ściany, uwieczniony został Juan w stroju tureckiego sułtana, jaki ten najukochańszy syn Rodriga istotnie lubił przywdziewać:

w wielkim lnianym turbanie dokoła głowy, pelerynie i luźnych spodniach z tkaniny w orientalne wzory. Twarz Juana była ciemniejsza niż u jego rodzeństwa – Cesare i Lukrecja mieli dość jasną karnację – i na tym portrecie miał drapieżne spojrzenie sokoła, gniewne, lecz zarazem czujne. W prawdziwym życiu, jeśli Juanowi zdarzało się tak patrzeć, to była to jedynie poza.



Zadumę nad szybko mijającymi latami, które „niosą nas ku ostrej włóczni śmierci”, jak powiada Petrarca, przerwał mi w końcu twój dziadek, który zjawił się z Beheimem przy boku. Oprócz przepoconej koszuli Jego Świątobliwość miał na sobie jedynie szkarłatne pantofle i pończochy, które uwydatniały nogi wciąż kształtne i dobrze zbudowane. Podeszedł do mnie pełnym gracji krokiem o wiele młodszego człowieka, stawiając stopy palcami na zewnątrz, jakby pod czujnym okiem nauczyciela tańca. Dopiero gdy zbliżył się na tyle, by mnie dotknąć, zauważyłam plamy wątrobiane i cienką skórę mocno naciągniętą na wielkim upartym garbie nosa – świadectwo tego, jak bardzo się postarzał. Usta jednak miał pełne jak zawsze, delikatnie ściągnięte, jakby właśnie wypił łyżeczek szczególnie wybornego wina i próbował wyczuć jego smak.

Skinął na Beheima, który wyjął nóż ze skrzynki medyka. Modliłam się o szybki koniec, ale Beheim tylko przeciął sznur przytrzymujący knebel. W ustach miałam tak sucho, że nie mogłam wypluć tego drewnianego szpuntu. Beheim wyłuskał go czubkiem ostrza.

Twój dziadek nachylił się i wlepił we mnie swe obsydianowe oczy.

– Damiano. Zawsze wiedziałem, gdzie jesteś. – Głos miał głęboki, lecz w jego syczących nieco słowach słychać było echo hiszpańskich przodków, choć rodzina Borgiów – twoja rodzina, *carissimo* – mieszka w Italii od pokoleń. Wąż w trawie. Albo żmija na drzewie.

Palcami powiódł po moich włosach: nie było to głaskanie, lecz gest stajennego, który bada grzywę chorego konia.

– Farbujesz włosy, ukrywasz się w tawernie jakiegoś Żyda... – Pokręcił głową ze znużeniem. – Mogłem przyjść po ciebie w każdej chwili. Każdy oddech w ciągu ostatnich pięciu lat zawdzięczasz mej łaskawości.

– Jesteś księciem łaskawości, nieprawdaż? – odparłam. Twój dziadek kupczył odpustami z ołtarzy swych kościołów jak dziwka sprzedająca świece na rogu ulicy. Za pieniądze nie odpuszczał jedynie zbrodni wymierzonych przeciwko jego własnej osobie bądź dokonanych na rzecz Turczynów. – Pewnie możesz w swej łaskawości rozgrzeszyć nawet samego siebie. Dziś wieczorem zamordowałeś w moim domu niewinnego staruszka. I ukochanego psiaka swojego wnuka. – Nie chciałam kusić Fortuny domysłami na temat losu Camilli.

Myślałam, że mnie uderzy. On jednak odwrócił się plecami i popatrzył w górę na Juana, księcia Gandii *alla turca*, jakby błagając tego najukochańszego syna, żeby na nowo oblókł w ciało swe gnijące kości. Po chwili opadły mu ciężkie ramiona i twój dziadek przeniósł spojrzenie na proroczy wizerunek żyjącego wciąż syna. Cesare Borgia, który dzisiaj, kiedy piszę te słowa, jest wodzem armii świętego Kościoła rzymskiego, znanym w całym świecie chrześcijańskim jako Valentino. Książę Romanii, geniusz, który porzucił kardynalski kapelusz na rzecz hełmu

wojownika, pogromca tyranów i wybawca całej Italii to syn, który pozwoli twemu dziadkowi, Jego Świętobliwości papieżowi Aleksandrowi VI, podbić królestwa świata bez ruszania się z tronu Piotrowego. Być może, kiedy będziesz czytać te słowa, papieskie imperium zdąży już daleko przesunąć obecne granice, rozciągając się z serca Italii na całą Europę.

W rzeczy samej, jeśli ziszczą się wszystkie moje obecne obawy, zapewne Fortuna uczyniła cię już dziedzicem tego imperium. A jeśli tak, to Borgiowie opowiedzieli ci o mnie same kłamstwa, chyba że jakaś prawda była akurat gorsza.



Wreszcie twój dziadek przerwał własną zadumę.

– Juan szedł do twojego domu tamtej nocy, gdy został zamordowany. Tylko ty o tym wiedziałaś. Tylko ty mogłaś poinformować kogoś innego.

Nasiedziałam się niegdyś przy stole papieża i napatrzyłam na jego metody, wiedziałam więc, z jaką zręcznością prokurował fałszywe oskarżenia na podstawie faktów, którym nie sposób zaprzeczyć. Spodziewając się tego przesłuchania od więcej niż pięciu lat, odparłam:

– Jeśli twierdzisz, że zdradziłam Juana, wyjawiając jego trasę tamtej nocy, to Bóg mi świadkiem, że o wiele łatwiej było mordercom śledzić go od domu matki niedaleko Eskwilinu, gdzie jadał kolacje, o czym wiedziała połowa Rzymu. I tak jak wszyscy zdajesz sobie sprawę, że Orsini i Vitelli zawzięli się na niego. To właśnie ci *condottieri* najwięcej by skorzystali, gdyby Borgiowie zostali starci z powierzchni ziemi.

Powinnam w tym miejscu wyjaśnić, że my, Włosi, od

kilku pokoleń składamy przetrwanie naszych rozmaitych państw i księstw w ręce owych *condottieri*, czyli bractwa najemnych dowódców. Bandy zbirów wypełniają, za bardzo sowitym wynagrodzeniem, zadania wojskowe, jakie król francuski przydzieliłby ogromnej armii żołnierzy, dowodzonych przez szlachciców, którzy złożyli mu przysięgę na wierność. W Italii jednak wolimy zatrudniać sprawców naszego własnego zniszczenia. Owi „żołnierze Fortuny”, paradujący jak rajfurzy w grawerowanych zbrojach, toczą między sobą pozorowane wojny tylko po to, by łupić bezbronnych wieśniaków, gotowi okazać posłuszeństwo każdemu, kto zaproponuje bardziej lukratywny kontrakt. A dwa rody dowodzące obecnie tą ociekającą krwią kliką to Orsini i Vitelli.

– Ty mianowałeś Juana generałem wojsk świętego Kościoła rzymskiego – oskarżyłam swego oskarżyciela. – Powierzyłeś mu stanowisko, na które zupełnie się nie nadawał i którego bynajmniej nie pragnął. To ty poleciłeś nieszczęsnemu Juanowi, żeby wysyłał swoich żołnierzy w bój o twierdze Orsinich wokół Rzymu, choć wiedziałeś, że ich ataki są z góry skazane na klęskę, bo bastionów skutecznie broniły oddziały dowodzone przez Vitellich. Nawet mniszka klauzurowa pojęłaby, że zabójcami Juana byli Orsini lub Vitelli. Albo jedni i drudzy. Ale ty ich nie ścigałeś, prawda, Wasza Świątobliwość? – Jeśli spodziewałam się odpowiedzi, nie otrzymałam jej. – Byłeś zbyt słaby, by policzyć się z mordercami własnego syna. Wolaleś ich wykorzystać.

Dla niego było jasne, o czym mówię, lecz dla ciebie może nie będzie. Otóż papież urzędujący przed twoim dziadkiem oddali wiele ziemskich włości Kościoła, które obejmują

dzisiaj cały środek Italii i nazywane są państwami papieskimi, pod panowanie rozlicznych mniejszych i większych tyranów. Bez pomocy Orsinich i Vitellich twój dziadek oraz księżę Valentino mogliby jedynie marzyć o pokonaniu tej konfederacji despotów. Wynajęli więc swych wcześniejszych wrogów, podporządkowując *condottieri* śmiałemu i sprytnemu dowództwu Valentina, i w ten sposób zdołali odzyskać państwa papieskie z szybkością, która wzbudziła podziw całej Europy. Wieści o zwycięstwach dotarły nawet do zapadłych uliczek Zatybrza. Dlatego twojemu dziadkowi, skoro nie chciał stawiać zarzutów swoim sprzymierzeńcom, o wiele wygodniej było oskarżyć mnie. Nie miałam żołnierzy, których mógłby nająć Jego Świątobliwość.

– Nie przysłaś do mnie, kiedy znaleźliśmy Juana – pierws twojego dziadka zafalowała nieznacznie – kiedy mogłabyś przedstawić nam te teorie. Wolęłaś uciec jak włamywacz.

– Byłam tam, gdy znaleziono Juana. Czekałam nad rzeką... – Na chwilę zanurzyłam się w tym wspomnieniu i usłyszałam okrzyki rybaków. – Kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że będziesz żądał ode mnie przyznania się do winy. Tak jak oczekujesz tego dzisiaj. – Zerknęłam na narzędzia przesłuchań leżące w skrzynce obok. – Już wtedy wiedziałam, że noszę dziecko w łonie. Naplułabym w twarz samemu Szatanowi, by je chronić.

Jego Świątobliwość odwrócił się, a wypowiedziane przez niego słowa zasyczały wyraźniej niż poprzednio.

– Odtąd chłopiec będzie pod moją ochroną. Tutaj, w Watykanie.

Zawodziłam i lamentowałam nieprzytomnie, ugodzona do trzewi tymi słowami skuteczniej niż którymkolwiek z

narzędzi Beheima.

Dopiero kiedy opadło mnie zmęczenie, miłosierny Bóg ofiarował mi trochę spokoju, po czym ujrzałam oczy Szatana tak blisko mej twarzy, że poczułam wino w jego oddechu.

– *Bene, bene* – powiedział twój dziadek. – Uchyliłem drzwi i pokazałem ci mój żal. Kilka chwil cierpienia, które dla mnie nie ma końca. Płonąca koszula, której nigdy nie zdołam zedrzeć ze swej piersi.

– Ja też opłakuję Juana.

Zlekceważył mój żal mrugnięciem.

– Mówisz na chłopca Giovanni. Rzecz jasna, i o tym wiem od dnia jego narodzin. Nie wierzę jednak, byś była pewna, że ojcem Giovanniego był mój Juan.

– Jest dzieckiem z mego łona i mej duszy. Matka Boska mi świadkiem, że znam ojca, który złożył we mnie swe nasienie.

– Jak tu chłopiec trochę pobędzie, dowiem się, kto jest ojcem – stwierdził twój dziadek bez cienia niepewności. Dał znak Beheimowi, który ponownie wyciągnął lekarski nóż.

W takiej chwili człowiek zastanawia się tylko, gdzie nastąpi pierwszy cios. Kiedy Beheim rozciął sznur, którym do krzesła przywiązane było moje prawe ramię, pomyślałam, że chce wyciągnąć mi rękę, bym swoją pieśń rozpoczęła od ostrych, czystych tonów. On jednak przeciął sznur przytrzymujący lewą rękę.

– Jest w skrzynce, Lorenzo – powiedział twój dziadek.

– Daj jej.

Zacisnęłam powieki i poczułam między udami dłoni Beheima, zapewne szykującą się do zadarcia sukni. Mimowolnie otwierałam oczy i spoglądałam w dół.

Zobaczyłam, że Beheim położył mi na kolanach mały woreczek, który z łatwością zmieściłby się w dłoni. Wykonany z brudnej czerwonej wełny i ściągnięty długim czerwonym sznurkiem, był rodzajem sakiewki na talizmany, jakie nosi połowa dziwek i stręczycielek w Rzymie w nadziei na zyskanie szczęścia lub rzucenie miłosnego uroku.

– Zajrzyj do środka – polecił Jego Świątobliwość.

Ręce mi drżały, ale włożyłam palec do mieszka i wyciągnęłam zabrudzoną karteczkę nie dłuższą od mojego kciuka, do której również przyczepiono czerwoną przędzę. Było to *bollettino*, jakie nieczęsto spotyka się w Rzymie – takie małe modlitwy noszą na szyi ludzie na wsi. Mimo niewprawnego pisma i taniego atramentu, który nie był dużo ciemniejszy niż poplamiony papier, dało się odczytać napis: *Sant Antoni mi benefactor*. Była to nagryzmołona w jakimś chłopskim dialekcie modlitwa do świętego Antoniego, który strzeże przed demonami.

Lecz kiedy odwróciłam tę karteczkę, znalazłam drugi tekst. Tym razem wyrobiona ręka użyła czarnego chińskiego atramentu, by zapisać poprawną włoszczyznę: *Gli angoli dei venti*. Kąty wiatrów.

Spojrzałam na papieża i pokręciłam głową.

– Wyjmij wszystko – powiedział.

Reszta zawartości woreczka wysypała się na moje kolana. Dwa ziarna bobu, kawałek szarej kredy i *quattrino della croce* – moneta stopiona w kształt krzyża. Były to talizmany, które miały zmusić mężczyznę do zakochania się w ich właścicielce. Jednak na widok ostatniego przedmiotu zamarły mi ręce.

Patrzyłam na miniaturową, nie większą od małego dzwoneczka, głowę byka z brązu z wielkimi oczami, krótkimi

rogami i kółkiem, które jakby wyrastało na czubku maleńkiej czaszki, by można było ją nosić jako amulet. Była to etruska starożytność, dzieło dawnej rasy, która poprzedzała Rzymian i użyczyła nazwy Toskanii. Odwróciłam ją i jednym spojrzeniem odnalazłam maleńką łacińską inskrypcję: *Alexander filius*. Syn Aleksandra. W dniu, w którym Rodrigo Borgia został ukoronowany na papieża Aleksandra VI, przyjmując imię pogańskiego zdobywcy zamiast świętego, podarował ten symbol miłości – i doczesnych ambicji – swemu ukochanemu synowi.

– Juan... – Papież przełknął ślinę, jakby wino w oddechu cofnęło mu się do gardła. – Miał to tamtej nocy.

– Nigdy się z tym nie rozstawał – potwierdziłam z wiarą, że te słowa na swój sposób pocieszą jakoś ojca Juana.

– Znalezione to w Imoli – powiedział, mając na myśli niewiele znaczące miasto w Romanii. Romania to wysunięte najdalej na północ państwo papieskie, położone na rozległej równinie pomiędzy Apeninami a Adriatykiem. Powinam raczej powiedzieć, że Imola była miastem pomniejszej wagi, dopóki książę Valentino nie przeniósł się tam w tym roku ze swym dworem. Powiadano, że wszyscy ambasadorowie, nie tylko z naszych licznych państw włoskich i reszty Europy, lecz również Turczyni udali się doń z suplikami. Amulet Juana przebył jakoś w ciągu pięciu lat setki mil wzdłuż i wszerz Italii, by powrócić do rąk jego ojca. Tak oto Fortuna okazuje swoje upodobanie do okrutnej ironii.

– Jak...?

– Zaiste, jak?

Podniosłam wzrok.

– Jeśli śledziłeś każdy mój oddech w ciągu tych pięciu lat, to wiesz, że nie mogłam zawieźć amuletu do Imoli,

nawet gdybym kiedykolwiek miała go w swym posiadaniu. Ostatni raz widziałam tę głowę byka tydzień przed zamordowaniem Juana. Kiedy ostatni raz... – Musiałam odpędzić czyhające na mnie obrazy, które unosiły się w rzece o barwie miedzi. Nigdy więcej nie chciałam już przez nią przechodzić. – Nie widziałam jej w tamtej łodzi. Ale może wziął ją któryś z rybaków.

Papież zerknął na Beheima.

– Rybacy zostali przesłuchani z wielką dbałością. – Być może w owej „dbałości” kryła się jakaś przeraźliwa ironia. Lecz jeśli nawet tak było, Jego Świątobliwość nie dał tego po sobie poznać. – Zabójcy mojego syna zerwali mu amulet z szyi. – Jego Świątobliwość wyrwał mi go, jakbym to ja była złodziejką. – Zabrali jako swoje trofeum.

– Przypuszczam, że kobieta, od której otrzymałeś ten mieszek na talizmany, może ci powiedzieć, kto jej to dał.

– Zaskoczyła mnie desperacja we własnym głosie.

– Niczego nie może nam powiedzieć. Nie żyła, kiedy ją znaleziono. Mieszek ścisnęła w ręce.

– Przypuszczam, że ktoś ją rozpoznał... jej ciało.

Jego Świątobliwość rozdał nozdrza, jakby poczuł gnijące szczątki.

– Nie ułatwiła nam sprawy w tym względzie. Żołnierze księcia Valentina odkryli jej zwłoki na polu pod Imolą. – Zwróciłam uwagę na oficjalny ton, jakim mówił teraz o swym synu Cesare. – Bez głowy, której jak dotąd nie odnaleziono.

Przeżegnałam się.

– W takim razie mordercy przypuszczali, że zostanie rozpoznana przez kogoś z dworu księcia Valentina, a może nawet przez kogoś z twoich ludzi. Czy miała bliźny lub

znamiona na ciele? – Doszłam do wniosku, że oczekiwano ode mnie, bym rozpoznała ofiarę, skoro znane mi były znaki szczególne kilku pań z naszej profesji.

Papież popatrywał na mnie badawczo przez chwilę.

– Wysyłam cię do Imoli.

– Żebyś obejrzała to, co z niej zostało?

Zamachnął ręką i uderzył mnie w czubek czaszki tak mocno, że ujrzałam gwiazdy. Chwytał moje włosy, jakby chciał je wyrwać razem ze skórą, odginając mi głowę do tyłu.

– Pojedziesz do Imoli i będziesz czekać w kwaterze wskazanej przez Stolicę Apostolską – wycedził przez zęby.

– Będziesz tam czekać, dopóki nie dostaniesz ode mnie poleceń.

Spojrzałam w pożądliwą twarz satyra, która znajdowała się tak blisko, że przez mgnienie nasze nosy się zetknęły. Nie czułam już wina w jego oddechu. Teraz był to obrzydliwy smród dawno pogrzebanego trupa.

Pomyślałam: Tak śmierdzi piekło.

Po chwili papież puścił mnie, ponownie skinął na Beheima i wyszedł z sali.



W łuku nad drzwiami, przez które wszedłeś chwilę później, Pinturicchio namalował Madonnę pokazującą Dzieciątka świętym, którzy oddawali mu cześć. Ludzie twego dziadka ubrali cię już w strój myśliwski z watowaną kamizelką i sięgającymi do kolan butami z czerwonego marokinu. Na rękach siedział ci słodki teneryfczyk, który lizał cię po twarzy, niemal dokładnie taki sam, jak nasz Ermesik.

– Mamo! Mamo! Zobacz! – zawołałeś jak karylion

małych dzwoneczków. Głos anioła. – W końcu poznałem mojego *nonno** i dał mi brata Ermesa. Rano pójdziemy z powrotem do naszego domu i zabierzemy Ermesa, i zaszyjemy ranę, którą zadali mu ci źli ludzie. Zostanę tutaj z psami, kiedy ty wyjedziesz, i będę się uczył fechtunku i jazdy konnej. – Skoczyłeś mi na kolana i puszysty teneryfczyk zaczął teraz jak szalony lizać moją twarz, złąkniony soli z łez. – Mamo, *nonno* mówi, że wszyscy będziemy tu mieszkać, kiedy wrócisz.

Ledwie opanowałam szloch, gdy zauważyłam, że twój *nonno* znów wszedł do komnaty i stanął za tobą. Mięsiste wargi Jego Świątobliwości zadrżały, wykreślając bardziej napiętą linię.

– Teraz rozumiesz, dlaczego jestem głęboko przekonany, że udasz się do Imoli i zrobisz, co ci każę.

– Rozumiem – szepnęłam – że własnego wnuka uczyniłeś zakładnikiem mojego posłuszeństwa w tej sprawie.

Twój dziadek skinął na Beheima, który delikatnie wyciągnął cię z mych objęć. Natychmiast poczułam ból porodu, kiedy matka po raz pierwszy rozdziela się z dzieckiem swego łona. Wiedziałam jednak, że jeśli będę cię kurczowo trzymać, tylko się przestraszysz.

Za pośrednictwem miłości, powiada Platon, odbywa się wszelka rozmowa między Bogiem i człowiekiem. Tak więc przysięga, którą ci wyszeptalam, była przeznaczona tyleż dla twoich, co dla Bożych uszu.

– Wrócę i znowu cię obejmę, mój najukochańszy skarbie. Niedługo. Tak szybko, jak tylko będę mogła. Do tego czasu bądź dzielny i rób, co ci każą. A kiedykolwiek o mnie

* *Nonno* (wł.) – dziadek.

pomyślisz, będziesz wiedział, że i ja myślę o tobie, darząc cię uczuciem gorętszym niż miłość, która porusza gwiazdy, i wtedy musisz się do mnie uśmiechnąć. Choćby nawet sto razy dziennie. Choćby nawet tylko raz. Za każdym razem, kiedy się uśmiechniesz, moje serce będzie o tym wiedziało.

Ledwie opuściłeś moje objęcia, a już obdarzyłeś mnie pierwszym z tych ujmujących uśmiechów, szelmowskich i nieco smutnych zarazem, które przypominały mi twojego ojca. Odwróciłeś się i uśmiechnąłeś po raz drugi, kiedy przechodziłeś pod ogromnym pozłacanym łukiem okalającym Madonnę z Dzieciątkiem, piesek na twoich rękach również obejrzał się na mnie szeroko otwartymi oczami, które patrzyły dłużej niż twoje.

Twój dziadek nie był świadkiem naszego pożegnania. Znów wpatrywał się w utraconego syna. Po raz pierwszy tamtej nocy byłem z nim sama. I nie potrafię powiedzieć dlaczego, lecz poczułam tak silną bliskość między nami, aż zaszlochałam, jakbyśmy byli dwojgiem ostatnich żałobników stojących nad trumną Juana.

– Orsini i Vitelli nie są już na moich usługach. – Głos papieża był głuchy. – W zeszłym miesiącu *condottieri* spotkali się na tajnym zebraniu w twierdzy La Magione i wypowiedzieli zbrojny bunt przeciwko księciu Valentinowi, Stolicy Papieskiej i całemu naszemu przedsięwzięciu w Rumunii. Vitellozzo Vitelli zaatakował nasze garnizony w tych samych twierdzach i miastach, za których zdobycie zapłaciłem mu tak hojnie ledwie kilka miesięcy temu. *Impiccato**. Orsini i Vitelli zdradzili samego Ojca Niebieskiego, nie tylko swego księcia, papieża i przysięgę,

* *Impiccato* (wł.) – dosłownie „wisiellec”, drań.

którą nam złożyli.

– Więc *condottieri* nie są ci już potrzebni – odparłam.

– Za to ja jestem.

Wzrok papieża wciąż utkwiony był w wizerunku Juana.

– Pięć lat, Wasza Świątobliwość. Tyle czasu skrzętnie gospodarowałeś swoją nienawiścią, odkładając po trochu każdego dnia niczym wino do piwnicy. Lecz będzie to kwaśne wino, jeśli wierzysz, że miałam coś wspólnego z tymi ludźmi. Może ta nieszczęsna kobieta była związana z *condottieri*. Najprawdopodobniej tak. – Westchnęłam ciężko.

– Ale gdybym ją w ogóle znała, to nie z powodu wspólnej zmywy z Orsinimi czy Vitellimi.

Papież odwrócił się, oczy świeciły mu się jak czarne szkło w słońcu. Znając jednak dobrze twego dziadka, dostrzegłam w jego twarzy pewną subtelność, która dała mi cień nadziei. Ten sam grymas wątpliwości widziałam kiedyś na jego obliczu, gdy uniósł złoty kielich pełen krwi Chrystusa w wielkanocny ranek w San Pietro. Choć tak często kupczył Bożym przebaczeniem, Jego Świątobliwość nie mógł być pewien, czy sam kiedykolwiek je otrzyma, bez względu na cenę. Poczuł smród piekła na własnym języku.

Podobnie teraz nie był całkowicie pewien mojej winy. Gdyby udało mi się powiązać *condottieri* z bezimienną kobietą, która została zamordowana, mając przy sobie amulet Juana w sakiewce, mogłabym jeszcze udowodnić mu swoją niewinność.

– Dobrze, Wasza Świątobliwość – szepnęłam. – Zrozumieliśmy się. Pojadę do Imoli i będę czekać na twoje polecenia.



Powinieneś wiedzieć jeszcze jedno o tamtej nocy: wszystko, co powiedział ci twój dziadek, było kłamstwem, prócz tego, że ten teneryfczyk był bratem naszego Ermesika. Jestem prawie pewna, że Ermes i ten piesek, którego dał ci Jego Świątobliwość, pochodziły z jednego miotu zrodzonego dwa miesiące przed zamordowaniem twojego ojca.